

## ENERGETYCZNA WODA Z MÓZGU, CZYLI JAK POLITYCY GRAJĄ WĘGLEM, SMOGIEM I GAZEM W KAMPANII [KOMENTARZ]

---

Polacy zainteresowali się energetyką. Dostrzegli to politycy, którzy wplekli tematy dotyczące węgla, smogu i gazu w swoje kampanie wyborcze. Niestety, przy tej okazji całkowicie wyzuli dyskusję o energetyce z faktów, stawiając na kabotyńskie spektakle i grę na emocjach.

Końcówka 2018 roku oznaczała dla Polaków początek wyjątkowo intensywnego okresu politycznego – na przestrzeni zaledwie 20 miesięcy wyborcy znad Wisły aż czterokrotnie staną przy urnach wyborczych. Za nami już wybory samorządowe, za miesiąc czas wskazać przedstawicieli do Parlamentu Europejskiego, jesienią odbędą się wybory do parlamentu krajowego, a na wiosnę przyszłego roku – wybory prezydenckie. Czas ten to w praktyce wielka i nieprzerwana kampania wyborcza. Jednym z jej istotnych tematów okazała się energetyka, w szczególności zaś sprawy dotyczące węgla, gazu i rachunków za prąd.

Niestety, kwestie energetyczne podzieliły los wielu innych haseł wziętych przez polityków na wyborcze sztandary – zostały one sprowadzone do poziomu sloganów i bon motów, którymi należy walczyć o głosy opierając się na emocjonalnym wydzwisku. Zrezygnowano ze sprawdzalnych faktów i rzetelnych danych na rzecz taniego spektaklu i wyborczej kielbasy.

Festiwal grania na energetycznych emocjach rozpoczął Robert Biedroń, który jeszcze przed formalnym startem ugrupowania Wiosna zapowiedział, że będzie dążył do tego, by Polska pod jego rządami wyszła z węgla do 2035 roku. Ten ambitny postulat jest jednak kompletnie nierealny. O skali przedsięwzięcia może świadczyć fakt, że Niemcy, które poświęciły na swoją transformację energetyczną kilkaset miliardów euro (do lat 30-tych XXI wieku mają wydać na Energiewende cały bilion euro) nie potrafiły praktycznie wcale zredukować ilości energii produkowanej z węgla brunatnego, a wyłączenie mocy zainstalowanych w węglu kamiennym również postępuje u nich dość wolno. Obecnie w RFN 35% energii elektrycznej produkuje się z tych surowców. Berlin zapowiedział co prawda, że zamierza wyjść z węgla do 2038 roku, lecz perspektywa ta może budzić uzasadnione wątpliwości. Tymczasem, według Roberta Biedronia, Polska, czyli kraj, gdzie aż 80% energii elektrycznej wytwarzane jest z węgla, miałaby zdekarbonizować się szybciej niż Niemcy.

Warto w tym momencie podkreślić, że Biedroń na początku swej kampanii podbudowywał postulaty dotyczące konieczności rychłej dekarbonizacji kwestią zanieczyszczeń powietrza. Łączył on tym samym energetykę zawodową i tzw. smog. Takie zestawienie to czysta gra na emocjach – profesjonalne, duże elektrownie nie przyczyniają się bowiem w znaczący sposób do powstawania smogu, a warto zauważyć, że energia cieplna pochodząca z dużych elektrociepłowni jest w stanie skutecznie zredukować zanieczyszczenia powietrza. Ciepło sieciowe wypiera bowiem (często nieefektywne i zasilane złej jakości paliwem) przydomowe kotły, zmniejszając jednocześnie tzw. niską emisję.

Co ważne, jeżeli jednak przystąpiono by do realizacji zamierzeń lidera Wiosny, to skutki byłyby opłakane – taka transformacja nie tylko pochłonięłaby setki miliardów złotych, ale też uzależniłaby Polskę od rosyjskiego gazu sprzedawanego przez Niemcy. Szerzej opisałem sprawę [tutaj](#).

Pozostańmy w temacie gazu. Wiąże się on nierozłącznie z dużymi projektami infrastrukturalnymi pokroju Nord Stream 2 czy Baltic Pipe. One także zostały wciśnięte do kampanijnych machin.

Dwa miesiące temu, po unijnych negocjacjach, których przedmiotem była wymierzona w Nord Stream 2 nowelizacja dyrektywy gazowej, posłowie Platformy Obywatelskiej zwołali konferencję w Sejmie, podczas której tłumaczyli, że niekorzystne brzmienie nowego unijnego prawa jest szkodliwe. „Ta dyrektywa jest bardzo szkodliwa, ponieważ zamiast blokować projekt Nord Stream 2, legitymizuje jego istnienie” – mówił były europoseł PO Paweł Zalewski. Jako powód takiego kształtu nowelizacji podał on... marginalizację pozycji Polski w ramach Unii Europejskiej.

Politykom Platformy umknęło, że nie tylko Polska starała się jak najbardziej szkodzić gazociągowi Nord Stream 2 za pośrednictwem unijnego prawa. O to samo walczyły m.in. kraje bałtyckie, Dania czy Rumunia. Niestety, blok pod przewodnictwem Niemiec i Francji, który starał się maksymalnie złagodzić skutki nowego prawodawstwa dla kontrowersyjnego połączenia. Berlin i Paryż odniosły sukces – i nie ma to nic wspólnego z pozycją Warszawy wewnątrz UE, jakakolwiek by ona nie była.

Niedługo po tej konferencji, inny poseł Platformy, Andrzej Halicki, skrytykował w Sejmie umowę, na mocy której Polska i Dania regulowały sporne rozgraniczenie wyłącznych stref ekonomicznych (WSE) na Bałtyku. „Za darmo, bez żadnych powodów polski rząd oddaje Danii część tej strefy na Bałtyku” – mówił. Słowa Halickiego są z gruntu nieprawdziwe. Po pierwsze, Polska nie oddawała żadnej strefy, bo *de iure* nie mogła, gdyż obszar ten był sporny, nie był przedmiotem regulacji międzynarodowych. Warszawa i Kopenhaga porozumiały się i rozgraniczyły swe strefy ekonomiczne kładąc kres temu konfliktowi. Po drugie, nie sposób nie spojrzeć na tę umowę inaczej niż przez pryzmat realizacji gazociągu Baltic Pipe. Brak uregulowania tego obszaru wpływał na budowę tej inwestycji, a także na możliwości stawiania tam farm wiatrowych. Można zatem założyć, że Warszawa dobiła z Kopenhagą targu, który wpłynie pozytywnie na realizację ważnego dla Polski połączenia.

Niestety, politycy Platformy kontynuowali atak na polsko-duńską umowę w sprawie stref ekonomicznych. 2 kwietnia Stanisław Gawłowski, sekretarz PO, opublikował na swoim Twitterze wpis, w którym twierdził, że ze względu na ustalenia dotyczące WSE, rząd PiS umożliwił „swobodną budowę gazociągu Nord Stream 2” przez duńską wyłączną strefę ekonomiczną. Argumentował te twierdzenia mapką, na której widniał nowy, trzeci wariant trasy NS2, poprowadzony właśnie przez nowy kształt duńskiej WSE powstały ze względu na umowę z Polską. Jednakże polityk PO nie wspominał o tym, że trzeci wariant trasy Nord Stream 2 wynika stąd, że Dania nie wydała na razie zgody na budowę wariantu numer 1 (prowadzonego po duńskich wodach terytorialnych) i na wariantu nr 2 (prowadzonego po duńskiej wyłącznej strefie ekonomicznej). Według doniesień medialnych, Gazprom - na żądanie Kopenhagi - będzie musiał przygotować właśnie dodatkowy, trzeci wariant, co pociągnie za sobą opóźnienia w budowie Nord Stream 2 i dodatkowe koszty, zwłaszcza, że Kopenhaga należy do przeciwników podbałtyckiego połączenia. O żadnej "swobodnej budowie" nie można zatem mówić.

Porzucmy gaz i przejdźmy do elektroenergetyki. Tu sporo za uszami ma partia rządząca. Mowa oczywiście o całej sprawie dotyczącej cen prądu. Kiedy pod koniec 2018 roku okazało się, że rachunki Polaków za energię elektryczną mogą zauważalnie wzrosnąć w trakcie okresu wyborczego, rząd zabrał się za przygotowywanie rozwiązań kompensujących, powtarzając jednocześnie, że „prąd nie zdrożeje”. Efektem tych prac była pisana na kolanie i przegłosowywana w nocy tzw. ustawa prądowa. Miała ona ustabilizować ceny energii poprzez ich zamrożenie i zmniejszenie części składowych. Efektem nowego prawa był jednak chaos na rynku, wątpliwości Komisji Europejskiej związane z ograniczeniem roli prezesa Urzędu Regulacji Energetyki, konieczność pospiesznych nowelizacji i

miliardowe koszty. Co więcej, ustawa prądowa ma obowiązywać tylko przez rok, co dość wyraźnie wskazuje, że jest ona instrumentem do moderowania wyborczych nastrojów.

Jak widać, praktycznie każda strona polskiego sporu politycznego stara się wykorzystać energetykę do swoich celów, nie patrząc przy tym na fakty i rzetelność. Wyborcy – często pozbawieni większej wiedzy na temat dość skomplikowanych kwestii energetycznych – mogą łatwo ulec partyjnej propagandzie, która często sięga po dość niskie, emocjonalne i oderwane od rzeczywistości chwytły. Niestety, w taki sposób nie stworzymy świadomego społeczeństwa, będącego w stanie dokonywać rozsądnych wyborów.